



WHAT THE HEIL?!

SPIIS TREŚCI

- 003 Kto za tym stoi?
- 005 Wywiad z reżyserem
- 010 Spacer po Katowicach
- 011 Mikołaj Beljung – biogram
- 014 Wcielenia „Mikiego”
- 044 Na treningu za wiele nie gadał



Bartłomiej Błaszczyński

WHAT THE HEIL?!

prapremiera **14 stycznia 2022**

Scena Kameralna

Bartłomiej Błaszczyński reżyseria

Katarzyna Błaszczyńska dramaturgia

Marta Śniosek-Masacz scenografia i kostiumy

Jakub Adamiak muzyka

Paulina Prokopiuk (AST WTT) ruch sceniczny,
asystentka reżysera

Bartłomiej Sowa reżyseria świateł, wideo

Barbara Dudek inspicjentka

Karolina Lefek (ASP Katowice) asystentka scenografki

Anna Kandziora asystentka kostiumografki

Waldemar Janiszek realizacja świateł

Tomasz Wustrau realizacja projekcji

Igor Panek realizacja dźwięku

Marek Rachoń ukłony

Małgorzata Długowska-Błach kierownictwo produkcji

Maciej Rokita kierownik techniczny

Jadwiga Lemańska projekt plakatu



OBSADA

Anna Konieczna – Córka Mikołaja Beljunga

Michał Rolnicki – Mikołaj Beljung

Aleksandra Przybył – Rekonstruktorka nr 1

Marek Rachoń – Rekonstruktor nr 2

Michał Piotrowski – Rekonstruktor nr 3



Śląskie.

Bartłomiej Błaszczński jest laureatem Stypendium Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego Młoda Polska 2021 oraz stypendystą Marszałka Województwa Śląskiego w 2020 roku.

Licencja na wystawienie utworu została wydana przez Stowarzyszenie Autorów ZAiKS i Bartłomieja Błaszczńskiego.

W spektaklu wykorzystano archiwalne nagranie komunikatu o wybuchu wojny w wykonaniu Józefa Małgorzewskiego (właścicielem fonogramu jest Polskie Radio) oraz utwory *Malinkonija* (aut. Grzegorz Poloczek) i *Sing, Sing, Sing* (aut. Benny Goodman) w aranżacjach Jakuba Adamiaka.



DINOZAURY Z PARKU JURAJSKIEGO

O poszukiwaniu inspiracji i mierzeniu się z wyzwaniami, o ponadczasowej skromności, ale też o roli humoru w teatrze oraz... dinozaurach – z Bartłomiejem Błaszczyńskim, reżyserem spektaklu i autorem tekstu, rozmawia Miłosz Markiewicz

Miłosz Markiewicz: To twój kolejny spektakl, który reżyserujesz w Teatrze Śląskim, w którym na co dzień jesteś aktorem. Zaczęło się od kolektywnie przygotowanych „Kamieni” według książki Grażyny Jagielskiej, potem postanowiłeś przenieść na scenę komiks Spella „Przygody Stasia i Złej Nogi”, a teraz nie dość, że jesteś reżyserem, to jeszcze autorem tekstu. Lubisz sobie wysoko zawiesić poprzeczkę?

Bartłomiej Błaszczński: Nie wiem, czy wysoko, ale na pewno potrzebuję stymulacji w postaci efektu nowości. Zaskakiwanie samego siebie (np. reżyserując swój własny tekst), jest czymś, co sprawia, że jestem bardziej czujny. Lubię nieznane wody. To wszystko oczywiście brzmi bardzo pięknie i górnolotnie, ale nie umiałbym zliczyć, ile razy po drodze się utopiłem.

Na dodatek Mikołaj Beljung to postać, która istniała naprawdę, ale z jego życia pozostało nam zaledwie kilka anegdot i wycinków prasowych. Jak więc się stało, że postanowiłeś opowiedzieć tę historię?

Oficjalnie? Uważam, że to stosowne, aby przywrócić pamięć. Taka okoliczność daje teatrowi siłę wyrastania ponad porządek sztuki. A nieoficjalnie? Założyłem się z żoną, że napisanie tekstu o Beljunku nie jest trudne, więc zrobię to szybko i bez problemu. Pierwszą wersję rzeczywiście napisałem szybko, ale po dwudziestej wersji przestałem liczyć kolejne. I było to bardzo trudne, więc chyba przegrałem zakład. Teraz kończę swoją lekko obsesyjną przygodę z Beljungiem, która trwa już prawie cztery lata. Pochłonęła wiele czasu, nerwów i przyniosła dwa stypendia – Marszałka Województwa Śląskiego w dziedzinie kultury i stypendium Młoda Polska. W trakcie takiego czasu można się nauczyć grać na jakimś instrumencie, nowego języka albo objechać cały świat rowerem. Ja jednak zdecydowałem

się związać z tym mężczyzną. Czasami czuję się, jakbyśmy byli spokrewnieni.

Spekulacja to chyba trudna artystycznie, chociaż niezwykle wdzięczna pod względem kreatywności metoda twórcza. Zazwyczaj jednak spekulujemy na temat alternatywnej rzeczywistości bądź wizji przyszłości. Ty jednak postanowiłeś zanurzyć się w przeszłości... Z czym musieliście się zmierzyć, jakie były największe wyzwania, przed którymi stanęliście, przygotowując spektakl?

W pierwszym „Parku Jurajskim” wybrakowana sekwencja DNA dinozaura została wypełniona przez kod żaby. To sprawia, że genetycznie stworzone samice dinozaurów stają się zmienne płciowo, jak jeden z gatunków żab z Ameryki Południowej, i zaczynają się dziko rozmnażać. W trakcie pisania tekstu do „What the hell?!” zrozumiałem, że samą „anegdotą o” nie będę w stanie utrzymać napięcia, dlatego musiałem wymyślić konflikt, który stanie się osią opowieści. Jako że historia jest miejscami prawdziwa, owinięcie jej wokół nieprawdziwej relacji było ryzykowne. W końcu może nam się wymknąć i zacząć żyć swoim życiem, jak Spielbergowskie dinozaury.

Zaryzykowałbym stwierdzenie, że Mikołaj Beljung to bohater, którego potrzebujemy, ale nie jestem pewien, czy na niego zasługujemy. Czy są jakieś wartości, które

wydają ci się w nim najważniejsze, zwłaszcza dla współczesnej publiczności?

Był dziarski, miał hart ducha. Jeśli tak mało o nim wiemy, to wydaje się, że był skromnym facetem. Może to jest dla nas dobra wskazówka? Więcej robić, mniej mówić? Choć z drugiej strony, opowiadam także o wymyślonej części jego życiorysu, którą zapożyczam z imaginarium ojca nieobecnego, a to już chyba wskazówka dla mnie samego, żeby czasami mniej robić, a bardziej być dla tych, którzy tego potrzebują.

W charakterystyczny dla siebie sposób nafaszerowałeś swój tekst (i spektakl) humorem, co nie jest oczywiste w przypadku opowieści o zapomnianych bohaterach. Skąd decyzja, by nadać mu właśnie taką formę?

Zbigniew Zapasiewicz mówił, że aktorstwo to bardzo niepoważny zawód, więc trzeba go traktować poważnie. Śmiem zaryzykować stwierdzenie, że może historia – nasza szczególnie – to bardzo poważny temat i warto ją czasami przedstawić mniej serio. W końcu jest tak silna znaczeniowo, że nie trzeba jej dodawać powagi formą, bo osiąga się wówczas poziom, który bardzo trudno znieść.

Sam jesteś aktorem, jednak ani w poprzedniej realizacji, ani w tej, nie widzimy cię na scenie. Czyżbyś bał się pracować ze słynnym Bartłomiejem Błaszczyńskim?



fot. Przemysław Jendroska

Nie, nie boję się. Nawet kilka razy proponowałem mu współpracę, ale nie chce się zgodzić. Może obraził się po tym, jak mu powiedziałem, że jestem lepszym aktorem niż on reżyserem i pewnie dlatego nie ma na mnie pomysłu. Nie wiem. Z przykrością jednak stwierdzam, że nasze relacje od tamtego czasu są mocno ochłodzone...

Muszę na koniec zadać to pytanie. Najwyżej nie opublikujemy odpowiedzi. What the hell?!

Nie wiem, co na to odpowiedzieć... Co to znaczy w ogóle?! Ani to fajne, ani śmieszne, w pamięć nie zapada, szkoły nie przyjdą... Kłapa. Kompletny strzał w kolano. Kto na to pozwolił?



CZAS NA SPACER
PO KATOWICACH!



MIKOŁAJ BELJUNG

(ur. 5 marca 1914, zm. 16 maja 1974)

Biografia Mikołaja Beljunga, pierwszego dyrektora Stadionu Śląskiego, założyciela katowickiej restauracji, szpiega, trenera Ruchu Chorzów, dezentera i awanturnika, jest tak fantastyczna, że niemal nieprawdopodobna. Wydaje się, że w jednym życiorysie zamknęły się biografie kilku niezwykłych postaci. Kiedy pisze się o nim, że mógł być pierwowzorem Hansa Klossa, nie oddaje to barwności i niezwykłości jego losów.

Urodził się w 1914 roku w Transylwanii jako Miklos Beljung z ojca Francuza i matki niemieckiej Siedmiogrodzianki, a sam uważał się za Węgra. Został piłkarzem. Grał w lidze rumuńskiej. Wyjechał szukać szczęścia we Francji, gdzie wziął udział w nieliczej bójce, skoro groziła mu za to odsiadka. Uciekając przed karą, wstąpił do Legii Cudzoziemskiej, z której zdezerterował. Za dezercję trafił do więzienia,

z którego uciekł do Niemiec. Hitlerowcy znów zamknęli go w więzieniu, tym razem za działalność w ruchu antyfaszystowskim. Siedział m.in. w Pradze, na Pankracu. W roku 1940 wypuszczono go z nakazem pracy w biurze przesiedleńczym w Katowicach.

Zauroczony Elżbietą Orlińską, łączniczką polskiego ruchu oporu, za jej pośrednictwem wstąpił do Armii Krajowej, gdzie pod pseudonimem Miki został adiutantem komendanta katowickiej AK, a następnie, jako biegle mówiący po niemiecku, został agentem specjalnym o dwóch tożsamościach: podoficera SS oraz niemieckiego przemysłowca. W esesmańskim mundurze m.in. kupował broń i kradł dokumenty, zdobywał informacje, które przekazywał AK-owcom. Jako przemysłowiec prowadził z Niemcami interesy, z których pieniądze szły na ruch oporu. Kiedy groziła mu dekonspiracja, uciekł do Wiednia. Po wojnie wrócił na Górny Śląsk i jako były AK-owiec po raz kolejny w swoim życiu trafił do więzienia, tym razem w Bytomiu. Wyszedł podczas gomułkowskiej „odwilży” i ożenił się z byłą łączniczką, Elżbietą Orlińską. Miklos przyjął polskie obywatelstwo, polskie imię (Mikołaj) i został trenerem piłkarskim, m.in. Ruchu Chorzów, oraz otworzył restaurację Hungaria przy ul. Mariackiej w Katowicach. Kiedy zbudowano Stadion Śląski, został jego pierwszym dyrektorem. Zmarł w Katowicach w 1974 roku.

HISTORIA
CZEKA.
PAŃSTWO
CZEKAJĄ...



Tadeusz Flisiuk

WCIELENIA „MIKIEGO”

Nasze pierwsze spotkanie odbyło się w kombatanckim klubie. Mieści się on przy ul. Matejki w Katowicach, obok kina „Zorza”. Na spotkanie przybyli: „Berg”, „Miki”, „Tur” oraz znany dobrze pozostałym, starszy wiekiem człowiek, którego tytułowali majorem, chociaż był w cywilnym ubraniu.

Data spotkania – 5 grudnia 1969 roku, wigilia Mikołaja, stąd „Miki” – jako solenizant przyjął od nas wszystkich najserdeczniejsze życzenia.

Opowieści zawarte w tym reportażu będą dotyczyć wydarzeń sprzed ćwierćwiecza z górą, z okresu wojny i okupacji. Dzisiaj, w 1969 roku, wszyscy moi rozmówcy, jako byli bojownicy ruchu oporu są członkami ZBoWiD-u, pracują społecznie w komisji historycznej, zbierają materiały, dokumenty, wspomnienia z lat 1939–1945. Niezależnie od tego

pracują zawodowo: „Berg”, dziś starszy pan o szpakowatych włosach, noszący charakterystyczny uniform górniczy i dystynkcje, jest głównym inżynierem w Przedsiębiorstwie Budowlanym Przemysłu Węglowego – GRWS – Chorzów Batory. „Tura” można spotkać w Biurze Projektów Przemysłu Metali Nieżelaznych „Bipromet” przy stole kreślarskim. Pracuje na stanowisku starszego projektanta. Z kolei „Miki”. Z wyglądu trudno by wyczytać, że ów człowiek ma za sobą tyle przeżyć. Po pięćdziesiątce, średniego wzrostu, nosi okulary. Pracuje dziś w zakładzie podległym WZGS w Sosnowcu, produkującym materiały budowlane, jest dyrektorem. Jemu to w czasach młodości, w latach okupacji ruch oporu polecił wcielić się w postać obersturmführera Karla Heimbacha.

PAMIĘTNY WRZESIEŃ 1939 ROKU

Porucznik Józef Bujar jest dowódcą kompanii jednego z batalionów Obrony Narodowej, walczy pod Mikołowem, pod Mokrem, gdzie broni odcinka: tor kolejowy – szosa Mikołów – Mokre. Wraz z całą kompanią przeszedł bojowy szlak ze Śląska aż po Tomaszów Lubelski. 21 września, o godzinie 6.00 rano, batalion Obrony Narodowej okrążony przez przeważające siły wroga podrywa się po raz ostatni do natarcia, o tej godzinie porucznik Bujar zostaje ranny. Walki z Niemcami trwają cały dzień, są niezwykle zacięte,

dopiero późnym popołudniem w beznadziejnej sytuacji, wobec przewagi wroga, z braku amunicji, żołnierze dostają się do niewoli. Rannego oficera, przebywającego początkowo na punkcie sanitarnym w szkole, a potem w szpitalu polowym – Niemcy zwalniali do domu. Większość żołnierzy powędrowała do stalagów w Reichu, niektórzy w czasie transportu umknęli.

– 27 października 1939 roku pociągiem osobowym przyjechałem z Krakowa do Katowic – mówi. – Była godzina 11. Wysiedliśmy na dzisiejszym starym dworcu, wówczas głównym. Ja oraz dwaj inni żołnierze polscy w mundurach bez dystynkcji, w polowych czapkach z odcisniętym miejscem, gdzie niedawno był orzełek, wyszliśmy na katowicką ulicę pełną hitlerowskich flag zwisających od ponad miesiąca z okien domów, balkonów, z budynków małych i wielkich gmachów. Udałem się pieszo do Bogucic, szedłem ulicą Warszawską, która wówczas już zmieniła swoją nazwę. Tłumy ludzi, wszędzie hitlerowskie mundury różnych formacji, patrole. Hitlerowcy zatrzymywali mnie, legitymowali, żądali wyjaśnień. Podejrzliwie patrzyli na wydane przez ich ziomków z Wehrmachtu zwolnienie mnie z niewoli, jako rannego i niezdolnego do pracy człowieka.

Już owej jesieni spotkałem w Katowicach swoich byłych żołnierzy, oczywiście w nowym cywilnym wcieleniu.

IGRAŁ ZE ŚMIERCIA.
LUBOWAŁ SIĘ W SYTUACJACH
NIEBEZPIECZNYCH I RYZYKOWNYCH.
STALE WYZYWAŁ LOS.



Udało im się jakoś umknąć z transportów kierowanych do Rzeszy. Mieli do mnie zaufanie, pytali „co robić?”, wyrażali swoją nienawiść do wroga, do okupanta.

Mówi Ignacy Sikora – „Tur”, członek ruchu oporu z lat okupacji. Wspomina swój wrzesień.

– Byłem telegrafistą w dowództwie 23. dywizji piechoty. W przeddzień wybuchu wojny otrzymałem polecenie objęcia centrali telefonicznej w Tychach, i to był pamiętny dzień – 31 sierpnia. A dzień ostatni? Bój pod Tomaszowem Lubelskim, gdzie zostałem ranny. Zanim się wylizałem, upłynęło wiele tygodni. Dopiero w marcu 1940 r. jako niezdolnego nawet do przebywania w obozie jenieckim, zwolniono mnie i, via Łańcut, Wieliczka, udałem się do domu, do Katowic. To był powrót z tułaczki. Żona, mieszkająca w Bogucicach, uważała mnie za zmarłego, koledzy bowiem, którym udało się wrócić z wojny przyszli z tą wieścią do niej. Byli nawet świadkowie mojej śmierci...

JAK „MIKI” TRAFIŁ DO RUCHU OPORU

Wrzesień 1939 zastaje „Mikiego” – Mikołaja Beljunga – w praskim więzieniu na Pankracu. Ów strzęp człowieka nie był w opinii tamtejszych władz hitlerowskich, aż tak cennym nabytkiem by go przetrzymywać. Więc zwolniono go,

a ponieważ jako siedmiogrodzki Węgier znał język rumuński, otrzymał jesienią 1941 roku langfristiger Notdienst i polecenie udania się do Katowic. Nie bardzo wiedział, gdzie to jest, ale z hitlerowcami nie było żartów, szanse zaś ucieczki do Siedmiogrodu – żadne. Więc jedzie na Górny Śląsk, gdzie w Katowicach, w budynku przy dzisiejszym kościele ewangelickim, hitlerowcy zorganizowali Umsiedlungsstelle, placówkę przez którą zamierzali ściągnąć do Rzeszy Niemców z krajów bałkańskich. Mikołaj, znając język niemiecki, rumuński i węgierski, był im przydatny. Nie znał polskiego, więc nie obawiali się, że nawiąże jakieś miejsce, niebezpieczne dla III Rzeszy kontakty. I tu się przeliczyli.

Pan Mikołaj pewnego dnia wstąpił do zakładu fryzjerskiego przy ówczesnej Höferstrasse, czyli naszej dzisiejszej ulicy Kościuszki, tu poznał młodą ładną dziewczynę – Elżbietę. Nigdy nie przypuszczał, że ta panienka w białym fartuchu, w kręgach konspiracyjnych znana jako „Ela”, ma coś wspólnego z wrogami Rzeszy. Wiedział tylko tyle, że jest Polką. Szukał kontaktów z Polakami. Rozumiał, że są nieprzyjaciółmi jego chlebodawców, tych samych, którzy go bili w praskim więzieniu, którzy to samo czynią w Katowicach, bijąc Polaków, wypełniając nimi więzienia.

„Ela” otrzymuje zadanie zjednania Mikołaja dla ruchu oporu. Od powodzenia przedsięwzięcia dużo zależy.

Po kilku miesiącach znajomości, Mikołaj opowiedział jej wszystko o sobie. Wzbudzało to zaufanie, toteż postanowiono zaproponować mu pracę w ruchu oporu. Propozycja została przyjęta. „Miki” złożył przysięgę wierności. Postanowiono wcielić go w postać obersturmführera Karla Heimbacha.

PRZYGOTOWANIA I WIZYTA W DRUKARNI

Ci trzech kombatanci, żołnierze ruchu oporu, którzy dziś zajmują się sprawami minionej wojny jako historycy, społecznie pracują nad odszukiwaniem dokumentów, ludzi, zapomnianych faktów – „Berg”, „Tur” i „Miki” nie znali się osobiście w 1939 roku. I gdyby nie wojna chyba by się w życiu nigdy nie spotkali. Wrzesień 1939 roku zapisał się różnie w ich życiorysach, los sprawił, że Katowice stały się miejscem konspiracyjnego działania.

- Kiedy po raz pierwszy spotkaliście się w ruchu oporu?
- Było to w listopadzie 1942 r. – mówi „Tur”, Ignacy Sikora.
- Dostałem polecenie wzięcia udziału w poważnej, jak nam oświadczone, akcji. Z Generalnej Guberni nadeszły pieniądze, ówczesne złotówki. Nasz człowiek, „Miki” – powiedziano – występujący jako oficer SS, wymieni je w Banku Rzeszy na marki. Otrzymałem zadanie: ubezpieczać „Mikiego”. Było nas trzech – ja, „Okoń” i „Drąg”. Bank mieścił się w bocznej uliczce koło kościoła w Katowicach.



A WIĘC WOJNA!



O godzinie 13, uzbrojeni, spotkaliśmy się na rogu dzisiejszej Francuskiej i Warszawskiej. Cała obstawa. Rozstawiliśmy się potem w odpowiednich odległościach i spacerując obserwowaliśmy jak „Miki” w przebraniu SS-mana wchodził do banku. Po pewnym czasie wyszedł niosąc walizeczkę. Ja szedłem przed nim, a „Okoń” i „Drań” za nim w pewnej odległości. Doszliśmy do dzisiejszej Warszawskiej, bodajże nazywała się wówczas Krakauerstrasse, kierując się w stronę rynku. Koło rozlewni piwa skręciliśmy w podwórze. W tym samym szyku, nie wzbudzając podejrzania – aż do Teatralnej, która była ślepą ulicą. Tu przejąłem od „Mikiego” walizkę z całą zawartością, wręczając ją później „Jankowi”.

- Brałem udział w spotkaniach – opowiada „Berg” (Józef Bujar) – w konspiracyjnym lokalu przy dzisiejszej ulicy Reymonta. Było tam zawsze kilka osób, przygotowywano plany akcji przeciwko okupantowi. Tam też po raz pierwszy poznałem „Mikiego”.
- Jak przygotowywał się pan do wcielenia w osobę obersturmführera – pytam Mikołaja Beljunga.
- Te przygotowania, a nawet same akcje, były w znacznej mierze dziełem improwizacji. Nie można było wszystkiego w najdrobniejszych szczegółach przewidzieć, ani zaplanować tak, jak to niejednokrotnie widzieliśmy w przygodach kapitana Klossa, czy tak jak przygotowano w Warszawie akcję na Kutscherę.

Oczywiście, zniknąłem z owego Umsiedlungsstelle, gdzie byłem zatrudniony, gdzie poznałem arkana niemieckiej administracji, gdzie wreszcie, w tajemniczych, dla hitlerowców, okolicznościach zaginęło kompletne umundrowanie SS-mana. Ruch tam był duży, więc mundur spisano na straty, nikt natomiast nie podejrzewał mnie o ten czyn. Zaopatrzony zostałem w fałszywą legitymację służbową na nazwisko SS Oberscharführera, później Sturmführera i Obersturmführera Karla Heimbacha, urodzonego 5 III 1914 r. w Petrowitz, Kreis Kattowitz. Drugi Dienstaussweis miałem na nazwisko Peter Andron, z tą samą datą urodzenia. Byłem więc oficerem SS pracującym w administracji, na co wskazywały otoki na kołnierzu – srebrnoczarne. Patrole z Waffen SS, które w czasie działalności spotykałem, nie interesowały się człowiekiem z administracji, to nie ich sprawa.

Zamieszkałem w tym samym domu co i teraz, w 1969 r. Wprowadziłem się tam, gdy zniknąłem z Umsiedlungsstelle. Ludzie na klatce schodowej, w bramie, na ulicy, z szacunkiem odnosili się do pana Obersturmführera. Miałem znajomych w Nachschubstelle der Waffen SS, tj. w zaopatrzeniu, piłem z tamtejszymi SS-manami, a przy okazji zaopatrywałem się w różne hitlerowskie dokumenty, blankiety, które w czasie tych wizyt „zaginęły”.

Debiut w roli Oberscharführera SS nastąpił w Sosnowcu. Z polecenia ruchu oporu poszedłem do drukarni przy

jednej z ulic (zresztą i dzisiaj jest tam drukarnia). Kierownikiem placówki był Polak, więc nie mógł mieć podejrzeń, by jakiś SS-man, zresztą biegle władający językiem niemieckim z wiedeńskim akcentem, mógł podszywać się pod kogoś innego.

Na wstępie – „Heil Hitler”, potem rozmowa, polecenie dla przestraszonego kierownika, by wykonał 100 sztuk blankietów dla Verwaltungsführer SS und Polizei Lemberg. Tekst blankietu był następujący: „Der Reichsführer SS und Chef der Deutschen Polizei, Reichminister des Innern”. Wytłumaczyłem kierownikowi, że te blankiety za trzy dni zabiorę, aby następnie przesać do placówek SS i Polizei w Generalnej Guberni, stamtąd też napłyną do drukarni zamówienia na odpowiednie ilości blankietów po naniesieniu na ów wzór terenowych danych, jak charakter placówki, miejscowości itd.

W określonym terminie owe 100 sztuk blankietów odebrałem, więcej się w tej drukarni nie pokazując. Zapewne jej kierownik był szczęśliwy, że nikt nie żąda w tej sprawie żadnych wyjaśnień, a może SS-manowi w końcu nie podobało się wykonanie, albo zamówienie przesał do innej drukarni, są przecież takie w Katowicach.

CHCIAŁBYM
GRAĆ TAKIE
EPIZODY...



Blankiety te były dla ruchu oporu bardzo cenne, na każdym z nich można było wypisać pożądaną treść, można było w bankach Rzeszy dokonywać operacji finansowych, kupować broń, podróżować po Protektoracie, wyjeżdżać w sprawach służbowych dla Policji i SS w mieście Lemberg – aż do Ostrawy.

Debiut w roli oberscharführera udał się znakomicie. Ruch oporu powierzył „Mikiemu” zadanie o wiele poważniejsze, które wykonał wcielając się w postać obersturmführera. Chodziło o wyjazd do Ostrawy, na teren ówczesnego Protektoratu Czech i Moraw i zakupienie w Verkaufsstelle broni palnej krótkiej. Zaczniemy tę opowieść od początku...

– Na jednym z tych sosnowieckich blankietów wypisaliśmy zezwolenie na zakup broni palnej – mówi „Miki” – dla, jak sobie dokładnie dziś przypominam, Dienststelle SS und Polizeiführer in Lemberg. To było jesienią 1942 roku, chyba we wrześniu, bo chodziłem w SS-mańskim mundurze, ale bez płaszcza. Zadanie polegało w znacznej części na improwizacji, jak się później okazało, wielce ryzykownej. Na dobrą sprawę niewiele wiedziałem o mechanizmie załatwiania spraw w administracji wojskowej – poza tym, że wszyscy Niemcy, tej administracji (Wehrmachtstgefolge) czy instytucji paramilitarnych zaopatrywali się w placówkach zwanych Verkaufsstelle.

Po naradzie z moimi towarzyszami z ruchu oporu wybraliśmy Ostrawę jako teren bezpieczniejszy do transakcji niż jakiegokolwiek inne miasto śląskie.

Zaopatrzony w rozkaz wyjazdu i długoterminowy bilet, który wystawiony na oryginalnym blankiecie umożliwiał liczne podróże, wsiadłem do pociągu odjeżdżającego w kierunku Pragi. Z Katowic wiele było połączeń, pociągów kursujących w ciągu dnia w tamtym kierunku, wybrałem ekspres dalekobieżny. Gdzieś przed 10 byłem na miejscu. Pytając pierwszych lepszych wojskowych o adres szybko trafiłem na miejsce. Kierownikowi składu z bronią po przepisowym przywitaniu – „Heil Hitler” – wręczyłem dokument, który ten zaczął uważnie czytać.

- Wszystko w porządku, panie obersturmführerze, ale pan przedstawił zapotrzebowanie wystawione dla policji w mieście Lemberg, a to jest przecież Generalna Gubernia. Nie ma pan natomiast zezwolenia na wywóz broni. W granicach Protektoratu taki dokument nie byłby potrzebny, ale tu chodzi o wywóz, sam pan rozumie.
- A kto udzielić może zezwolenia na wywóz? – zapytałem.
- Waffenamt in Polizeipraesidium – powiedział.
- Dobrze, zaraz tam idę – rzekłem panu kierownikowi i pożegnałem go znów zgodnie z hitlerowskim rytuałem.



TROCHĘ UWŁACZA MI
TAKI SYMULAKR, WDZIĘKU
POZBAWIONY...



Nie przewidziałem takiego obrotu sprawy, któż mógł zresztą znać dokładnie ich przepisy. Nie było innego wyjścia tylko trzeba leźć w paszczę lwa – do Prezydium Policji.

Trafiłem początkowo przed niewinne oblicze młodej urzędniczki, której podałem zapotrzebowanie na wspomnianym już blankiecie, opiewające na 500 sztuk krótkiej broni palnej. Powiedziałem jej o trudnościach, o tym, że jadąc tutaj nie zaopatrzyłem się w drobny dokument, jakim jest zezwolenie na wywóz.

Ona uważnie mnie wysłuchiwała, a potem mówi:

– Jak to jest możliwe, że wystawiono panu zapotrzebowanie na 500 sztuk, kiedy przepisy wyraźnie mówią o górnej granicy... 50 sztuk. Tego nie można od ręki załatwić. Kapitan jest na urlopie, ale w tak poważnej sprawie to pójde do szefa. Polizeioberst jest u siebie w gabinecie...

I wyszła. To były chwile wielkiego napięcia dla mnie. Nie wiedziałem, czy moja osoba i dokument, który był w rękach urzędniczki nie wzbudziły jej podejrzania. A może zaczną sprawdzać, może pójda w ruch dalekopisy, noty do Lwowa (Lemberg), do Berlina. Przecież mogą mnie tutaj pod byle pozorem zatrzymać, a jeśli wszystko się wyda, nie wydostanę się z pułapki. Jedno wyjście – drogo sprzedać życie.

To były chwile nerwowego napięcia, czarne myśli mnie nie opuszczały... Przypomniał mi się cały życiorys. Upłynęło może 10 minut, gdy w drzwiach ujrzałem tę dziewczynę w towarzystwie pułkownika policji. Poderwałem się na baczność – „Heil Hitler” – wyrzuciłem głośno jednym tchem, unosząc rękę w pozdrowieniu.

– Heil... – odpowiedział oficer. – Stał blisko, mężczyzna w średnim wieku przed pięćdziesiątką, o dobrodusznym wyrazie twarzy. Trzymał w ręku świstek papieru, moje zapotrzebowanie. Patrzył mi prosto w oczy i mówił, pamiętam dzisiaj po 25 latach dokładnie te słowa:

– Niech mi pan powie, kolego, jak to jest możliwe by wystawiono panu zapotrzebowanie na 500 sztuk, skoro przepisy wyraźnie mówią o 50?

Musiałem błyskawicznie coś wymyślić. Ocaliła mnie przytomność umysłu i swoboda w tej rozmowie.

– Panie pułkowniku, to wielkie zapotrzebowanie ma swoje uzasadnienie. Administrujemy licznymi majątkami, w których na kierowniczych stanowiskach są zatrudnieni ludzie z SS, inwalidzi. Przeszli front. Nie mogą oni nosić ciężkiej broni, tylko krótką broń palną ze względu na niebezpieczeństwo zagrażające ze strony grasujących tam polskich i sowieckich band. Musimy być zawsze gotowi na atak, to sprawa życia naszych ludzi...

- Sprawa życia – powiada pan, no tak, jeśli idzie o życie naszych współtowarzyszy to jest argument, należy zezwolenia udzielić.
- Fraeulein – zwrócił się do stojącej obok w milczeniu urzędniczki – proszę sporządzić notatkę służbową o tym, co obersturmführer powiedział i zachować ją, oraz wypisać zezwolenie.

Potem, gdy już miałem w kieszeni ten dokument w Verkaufsstelle nie było trudności. Uzgodniłem, że za kilka dni przyjadę po odbiór broni, poprosiłem o fakturę, na której była wypisana kwota do zapłacenia. To było kilkadziesiąt tysięcy marek. Gdy wróciłem do Katowic, radość wśród przyjaciół była wielka, następna eskapada do Ostrawy już nie sprawiała większych trudności. Tak oto zaopatrywaliśmy się w broń.

Nikt z żołnierzy ruchu oporu, nikt z partyzantów w Beskidach czy w lasach lublinieckich nie rozumiał – dlaczego broń dostarczana im ma zatarte numery. A chodziło o rzecz prostą: w przypadku gdyby wpadła ona w ręce Niemców, z numerów mogliby odczytać i dojść po nitce do kłębka, skąd się wzięła. I „Miki” byłby wówczas „spalony”. Pamiętajmy, że każda sztuka broni, wraz z numerami była spisana w dowodzie wydania. Jeden egzemplarz otrzymał „Miki”, drugi zaś pozostał w Ostrawie u kierownika Verkaufsstelle.

Broń ta była zmagazynowana w Katowicach – mówi „Berg”.

WYBORNĄ SCENĄ.
KOCHAM!
UWIELBIAM!



– Jeden zakonspirowany magazyn mieścił się przy ul. Mariańskiej 18, w podwórzu. Była to kryjówka znakomita, a pieczę nad nią sprawował „Janek”. Jeszcze kilka osób znało adres i miejsce magazynu. Do magazynu były dwa klucze, sama zaś skrytka mieściła się w szopie za ślepą ścianą. Stalowe drzwi do magazynu były obłożone tynkiem. Niemcy nigdy nie wpadli na trop tej kryjówki.

– Drugi magazyn – dodaje „Tur”, wówczas członek ruchu oporu, a dziś członek Komisji Historycznej przy Zarządzie ZBoWiD „Katowice-Wschód” – był na Zawodziu u „Tabora”, równie dobrze zakonspirowany. Oprócz pistoletów były tam także pistolety maszynowe z lunetami.

Broń po każdej akcji wracała do magazynu. Transport broni w ówczesnych warunkach okupacyjnych w Katowicach, było to zadanie wielce utrudnione. Wszędzie pełno Niemców, prowokatorów i szpicli.

Na przykład „Piaś” – transport z jednego miejsca na drugie zorganizował w ten sposób, że z piekarni, gdzie pracował, przy dzisiejszej ulicy 27 Stycznia, przywiózł ziemniaki małym ręcznym wózkiem do żony „Tabora”. Ziemniaczany transport nie wzbudził podejrzeń mieszkańców kamienicy. Zostawił worki w szopie, a przy okazji na wózek załadował broń, przysypując ją węglem potrzebnym dla... piekarni. Wózek z węglem ciągniony przez „Piastę” także nie

wzbudził zainteresowania patroli policyjnych. Takich wózków było wiele na ówczesnych ulicach Katowic. Wózek z węglem dotarł szczęśliwie do miejsca przeznaczenia, do piekarni. Dalszy etap – w Beskidy i w lasy lublinieckie czy częstochowskie.

W tej opowieści jedna sprawa jest frapująca – skąd „Miki” otrzymywał pieniądze na operacje finansowe, na zakup broni. Nasz obersturmführer przeprowadzał, na polecenie ruchu oporu, operacje finansowe w bankach Rzeszy, wymianę złotych, które ruch oporu mu dostarczał – na marki niemieckie. Były to akcje dokładnie przemyślane. O jednej już wspomnieliśmy. Brał niej udział „Tur” w charakterze obstawy. Akcje w bankach wymagają jednak szerszego naświetlenia, obfitowały bowiem w momenty pełne napięcia.

Ruch oporu na terenie Śląska wydatki swoje, związane z różnymi konspiracyjnymi przedsięwzięciami mógł realizować tylko w markach. Pieniądze zostały dostarczone z Generalnej Guberni, ale były to złotówki. Trzeba je było wymieniać na marki, co robił „Miki”, składając w mundurze SS-mana wizyty w bankach Rzeszy w różnych miastach tzw. rejencji śląskiej. Niektóre operacje bankowe „Miki” przeprowadzał w Zabrze, Gliwicach czy Chorzowie. Oto opowieść o wyprawie do zabrzańskiego banku...



NO I KTO BYŁ PODEJRZANY?



– Pewnego dnia – mówi „Miki” – wcielając się w postać oficera SS, wszedłem do siedziby banku w Zabrze. Czynności urzędowe były schematyczne. Nic ciekawego. Stałem przed okienkiem, witając urzędniczkę stereotypowym „heil!”. Akurat nie było w hallu ludzi, ot, kilka osób. Wręczyłem potrzebne dokumenty, tj. blankiet wypełniony prawidłowo na nazwisko Petera Androna. Jak pan wie, występowałem pod nazwiskiem Androna albo Heimbacha. Podałem też Dienstaussweis. I tu zaczęło się nieszczęście. Dowody zazwyczaj nosiłem za mankietem rękawa płaszcza. Jeden za prawym, a drugi za lewym mankietem. Wyciągnąłem z rękawa papiery. Wręczyłem urzędniczce pismo w sprawie wymiany złotych dla Androna, a przy tym zezwolenie dewizowe wystawione – jak się okazało – na nazwisko Heimbacha. Stąd rozmowa, którą mniej więcej odtworzę, chociaż to trudno po tylu latach...

– Panie obersturmführer – rzekła urzędniczka – dlaczego pan Andron nie przyszedł tutaj osobiście, tylko panem się wyręcza?

Pojałem pomyłkę, trzeba było coś powiedzieć, byle co, ale szybko.

– Proszę pani, mój przyjaciel Andron wrócił z Generalnej Guberni dosłownie na parę godzin do domu, prosił mnie

więc o przysługę. Cenna każda godzina pobytu z żoną i dziećmi, pani rozumie.

I uwierzyła w tę sentymentalną historię. „Miki” jako Heimbach dokonał operacji dewizowych dla Androna, którym był sam. Lecz nie każda urzędniczka bywa łatwowierna, nie każda rozumie trudności rodzinne młodych SS-manów.

Innym razem w Gliwicach młoda panienka, może 18-letnia, dostrzegła nieścisłości w przedstawionym jej dokumencie, zwróciła go oficerowi, położyła na pulpicie okienka i zażądała od SS-mana wyjaśnień. Zabrawszy dowód służbowy i papiery obersturmführ Heimbach udał się sprężystym krokiem w stronę wyjścia. Nie za szybko, nie za wolno...

– Ona jednakże po moim odejściu uruchomiła system alarmowy. Może kilka sekund się wahała – nie wiem – ale to mnie chyba uratowało. Gdy z trzaskiem zapadała krata u drzwi wejściowych do banku, byłem już z drugiej strony. Ci, którzy w przedsionku ujrzeni raptem spadającą zaporę stanęli niczym wryci, nie rozumiejąc, co tu się dzieje. Przymusowi więźniowie – tam wewnątrz banku – byli zapewne także zaskoczeni. Tylko młoda urzędniczka i ja wiedzieliśmy, o co chodzi w całej historii.

Zbiegłem, ale nie za szybko, ze schodów, zatrzymałem jadący samochód policyjny, prosząc kierowcę, by mnie zawiózł na... dworzec kolejowy w Zabrze, „bo lada chwila odjeżdża

mój pociąg”. Któż by śmiał odmówić oficerowi SS zwłaszcza, że w prośbie było tyle poczucia obowiązku. Przy dworcu wysiadłem. Samochód pojechał dalej. Zamiast na dworzec udałem się w boczną uliczkę. Pojechałem tramwajem do Bytomia, stamtąd tramwajem do Chorzowa. Zatrzymałem w Chorzowie ciężarówkę. Kierowca z ładunkiem węgla jechał już w kierunku Katowic. Był to Polak. Już w Katowicach, wysiadając, dałem mu 500 marek...

To może brzmieć dzisiaj trochę naiwnie, lecz gdy żegnałem szofera, jedynym zdaniem, które wypowiedziałem, było: „Niech żyje Polska”.

UCIECZKA

Gestapo nigdy nie wpadło na trop oficera SS Karla Heimbacha. Ale wiedziało już o powiązaniu Mikołaja Beljunga z ruchem oporu. Tylko przypadkowi zawdzięczać należy, że w tym czasie, gdy szukali go agenci Gestapo, został w porę ostrzeżony o niebezpieczeństwie. Trzeba było zmykać.

Los „spalonego” człowieka, jak się w latach okupacji zwykło nazywać ludzi, którym Gestapo deptało po piętach, przeżywały wówczas w Katowicach setki osób. Tajna policja III Rzeszy także nie zasypiała gruszek w popiele, do ruchu oporu nadsyłała swoich agentów, innym znów razem wpadki następowały wskutek zwykłej nieostrożności lub

TATUŚ...
A NIE
BĘDZIESZ
ZŁY?



nadmiernej brawury bojowców. Na usługach Gestapo byli nie tylko pospolici szpicle, ale także utalentowani agenci. Do takich należała „Krwawa Julka”. Ruch oporu wydał na nią wyrok śmierci. Jej sumienie obciążone było ciężkimi przestępstwami przeciwko narodowi polskiemu.

– Dziś, po ponad 25 latach – mówi „Borówka”, oficer ruchu oporu z lat okupacji, towarzysz „Mikiego”, obecnie wiceprzewodniczący Zarządu okręgowego ZBoWiD w Katowicach, Sylwester Newiak – trudno już ustalić przyczyny, dla których planowane zlikwidowanie „Krwawej Julki” nie doszło do skutku. Faktem jest, że przebywała ona w tym czasie, o czym wiedzieliśmy, w Wiedniu. Ci, którzy mieli ją zlikwidować, byli zdecydowani na wszystko, mieli otrzymać niemieckie rozkazy wyjazdu i dowody służbowe i w przebraniu wojskowym zamierzali pojechać do Wiednia.

„Miki” też spotkał „Krwawą Julkę”. Po sygnale, że jest poszukiwany przez Gestapo, wystawił sobie Marschbefehl, to jest rozkaz wyjazdu i pojechał pociągiem do Wiednia. Uważał, że tam jest bezpieczniej niż na Śląsku i w Generalnej Guberni. W Wiedniu, w jednym z lokali – „Patati” przy Spiegelstrasse, gdy jadł wieczorem kolację, siedząc przy stoliku wraz z panem C., także Polakiem, który się ukrywał przed agentami Gestapo, na salę w towarzystwie dwóch mężczyzn weszła piękna kobieta.

- To „Krwawa Julka” – szepnął mój sąsiad.
- Całe szczęście, że siedzieliśmy przy stolikach ustawionych w głębi sali, przy ścianie. Były to łóża z uchylającymi się drzwiczkami. Na sali panował półmrok, nie mogła nas dostrzec. Orkiestra grała. W lokalu było dużo ludzi, atmosfera zgiełkliwa, duszno. Wiedeń z uwagi na „Julkę” i jej podobnych, którym mój rysopis był znany, stał się jednakże nienajlepszym miejscem pobytu – mówi „Miki”.

Wróciłem jeszcze tego samego dnia na Śląsk. Wsiadłem z pociągu w Zabrze, tramwajem pojechałem dalej do Rudy Śląskiej, gdzie się ukryłem w bezpiecznym miejscu.

BYŁO ICH WIELU

Ruch oporu rozpracowywał niemiecką administrację, penetrował na Śląsku różne placówki i instytucje hitlerowskie. Działalność „Mikiego” i jego towarzyszy była tylko jednym z epizodów o wiele szerszej działalności ludzi z konspiracyjnego podziemia. Oto jeden z żołnierzy ruchu oporu („Wilk”) niejako wyspecjalizował się w występowaniu w roli niemieckiego policjanta. Dostarczał dla potrzeb konspiracji dowodów tożsamości, kart żywnościowych, blankietów zameldowania i wymeldowania, które były ostemplowane i podpisane, dostarczał niemieckie książeczki wojskowe tzw. Wehrpass, a z dokumentów tych korzystały osoby „spalone”.

– Działalność ruchu oporu na Śląsku była niezwykle trudna – mówi Sylwester Newiak – musieliśmy się dobrze konspirować w morzu niemczyzny, ale ludzie którzy byli z nami, swoją odwagą dokumentowali patriotyzm.

Jeszcze są w sile wieku, daleko im do czasu, gdy żyć będą wyłącznie wspomnieniami. Więc dzielą swój dzień na dwoje. Praca zawodowa w różnych zakładach, fabrykach oraz praca społeczna. Są członkami partii, są wśród nich bezpartyjni. Wolny czas poświęcają na spotkania z młodzieżą harcerską, ZMS-owską, by porozmawiać o latach bezpardonowej walki. A mają zawsze chętnych słuchaczy – gawęda przewidziana na lekcyjną godzinę często się przedłuża.

Źródło: „Trybuna Robotnicza. Magazyn Niedzielny” 1969, nr 302–304.



TO DOBRY MECZ
BYŁ. DWA JEDEN
DLA NAS!



Piotr Zawadzki

NA TRENINGU ZA WIELE NIE GADAŁ

Na postać Mikołaja Beljunga natknąłem się przy okazji rozmów z dawnymi piłkarzami Polonii Tychy, lokalnego klubu z lat 60. XX wieku. Wiosną 1963 roku ich trenerem został właśnie Beljung. A właściwie: Belżu, bo tak się przedstawiał zawodnikom.

Nie bardzo wiadomo, kto stał za angażem Beljunga w tyskim klubie ani co skusiło go do zajmowania się graczami z B-klasy. Trenował Polonię zaledwie pół roku, ale w tym czasie awansował z zespołem z B do A-klasy. Piłkarze zapamiętali go jako eleganckiego pana średniego wzrostu, o aparycji południowca. Na treningi przyjeżdżał kilka razy w tygodniu pociągiem z Katowic. Tak było najwygodniej, ponieważ

boisko znajdowało się tuż obok stacji kolejowej. Na treningach Beljung ordynował zawodnikom najpierw prostą gimnastykę, a potem ćwiczenie podań, strzałów, dośrodkowań. Uczył ich organizacji gry, zachęcał do atakowania skrzydłami. Od jednego z piłkarzy usłyszałem: – Jego treningi nie były ani lepsze, ani gorsze. Tak się wtedy trenowało chyba wszędzie. Ciężko było wymyślić coś nowego.

Beljung po polsku mówił płynnie, bez obcego akcentu. Ale za wiele na treningu nie gadał. Wydawał tylko krótkie, proste polecenia. A już w ogóle nie chwalił się swoją wojenną przeszłością. Piłkarze Polonii nie mieli nawet pojęcia, że ich trener to wieloletni dyrektor Stadionu Śląskiego, były szkoleniowiec słynnego Ruchu Chorzów, restaurator...

W Tychach został też zapamiętany jako człowiek, który – dzięki swoim znajomościom – pomógł klubowi zorganizować towarzyski mecz z Csepelem Budapeszt, czterokrotnym mistrzem Węgier. Amatorzy z Polonii przegrali 1:4 z utytułowanym rywalem, bo różnica w umiejętnościach była ogromna. Do dziś wspominają jednak ten mecz jako wielki honor i przygodę.

Autor jest kierownikiem Tyskiej Galerii Sportu – oddziału Muzeum Miejskiego w Tychach





TAKI JEST
MIKOŁAJ
BELJUNG.
ALBO INNY.



PROGRAM

Wydawca **Teatr Śląski im. Stanisława Wyspiańskiego w Katowicach**

Redakcja **Miłosz Markiewicz, Artur Pałyga**

Korekta **Julia Korus**

Zdjęcia **Przemysław Jendroska**

Projekt graficzny **Jadwiga Lemańska**

Przygotowanie nagrań **Igor Panek**

Zwiastun **Magdalena Molska, Anna Wagner, Bartłomiej Sowa**

Krój pisma **Graphik**

MECENASI TEATRU

ATENDE



J| JWW INVEST S.A.



iteo



PARTNERZY TEATRU



Teatr Śląski im. St. Wyspiańskiego w Katowicach jest instytucją kultury Samorządu Województwa Śląskiego



1115 100 25 15

2022
ROK JUBILEUSZOWY
W TEATRZE ŚLĄSKIM





CAŁA RADOŚĆ W DRODZE.

Cel? Jest oczywiście ważny. Ale czy aż tak ważny, jak droga, która do niego prowadzi?
Zwłaszcza gdy przemierzasz ją Twoim nowym BMW...

Odkryj radość w drodze Twoim nowym BMW – dostępnym w najlepszej ofercie rocznika 2020.



BMW X1.

0% opłaty wstępnej
już za 1100 PLN netto/mies.



BMW X3.

0% opłaty wstępnej
już za 1400 PLN netto/mies.



BMW serii 3.

0% opłaty wstępnej
już za 1150 PLN netto/mies.



Nowe BMW serii 5.

0% opłaty wstępnej
już za 1500 PLN netto/mies.

Dealer BMW Gazda Group

Gliwice

ul. Pszczyńska 322

tel.: +48 32 700 10 00

www.bmw-gazda.pl

Rata miesięczna netto w BMW Comfort Lease dla przedsiębiorców dla BMW 318i Limuzyna za 119 990 zł brutto, BMW 318i Touring za 129 000 zł brutto, BMW 518d Limuzyna za 159 000 zł brutto, BMW 518d Touring za 169 000 zł brutto, BMW 318d Gran Turismo za 132 000 zł brutto, BMW X1 sDrive18i za 117 000 zł brutto, BMW X2 sDrive18i za 120 000 brutto, BMW X3 sDrive18d za 150 000 zł brutto, BMW X4 xDrive20i za 181 000 zł brutto. Opłata wstępna 0%, okres leasingu: 48 miesięcy, średnioroczny deklarowany przebieg: 10 000 km, gwarantowana wartość końcowa. Zawarcie umowy uzależnione jest od pozytywnego wyniku weryfikacji prawnofinansowej Klienta oraz zawarcia ubezpieczenia OC/AC. Niniejsza symulacja nie stanowi oferty w rozumieniu art. 66 Kodeksu cywilnego. BMW Comfort Lease jest oferowany przez BMW Financial Services Polska Sp. z o.o. Szczegóły oferty u Dealerów BMW.





WWW.TEATRSLASKI.ART.PL

